Rok 1898. Lwów, dnia 25. lipca. Nr. 29.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FR. ZWILKOŃSKI

KONDOLENCJA

(Humoreska).

Wchodzę do pokoju i zastaję Konstantego wzburzonego, biegającego przyśpieszonym krokiem od okna do kominka.

— Co się stało?

Stanął, wyciągnął do mnie rękę i rzekł: — Już jej nie ma...

A no, szkoda, że nie byłem jej przedstawiony za życia, bo teraz, po jej śmierci, nie wiem co zacz i co tu powiedzieć.

Umarła, mój miły Boże, czy to jedna osoba umiera na świecie?!... Co dzień ludzie umierają... Widocznie droga mu była, kiedy oto stoi, pełen tego żalu, którego nie odczuwałem osobiście, bo jużcić trudno po nieznajomych łzy ronić; lecz, w takich razach, uważa się za rzecz godziwą i instynktownie wskazaną — przekrzywić tak twarz, zrobić taką minę, aby patrzący odniósł silne wrażenie, że się głęboko odczuwa jego smutek.

Urządziłem taką minę i zacząłem mrugać powiekami...

— Więc, już jej nie ma — rzekłem, nie puszczając jego ręki i trzęsąc nią coraz silniej... Puściłem go potem nagle, aby ryknąć: „Mój biedny Konstanty!“ i całym ciężarem ciała padłem w jego objęcia...

Uścisk był gorący, serdeczny i wymowny... Spostrzegłem. że z nas dwóch ja byłem więcej rozczulony, gdy tymczasem on, z jakimś demonicznym spokojem wydobył z szuflady biurka dwa cygara, i podając mi jedno rzekł: „Pal, bo dobre“. Podziękowałem mu za tę jego pamięć i zapalając cygaro, pomyślałem sobie: czy warto umierać dla takiego cymbała?!...

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie z cygarami w ustach. Chwilowe milczenie w tym kawalerskim pokoju, zimnym i ponurym jak oto ten naprzeciwko mnie siedzący Konstanty, wydało mi się grobem; zrobiłem sobie cichą wymówkę, że niepotrzebnie przyszedłem. Niechby przynajmniej raczył się odezwać; opowiedział jak i co się stało, i kto, kiedy umarł?... Ale on, wolał milczeć, więc i ja milczałem. Nareszcie coś sobie przypomniał, bo wstał, wyjął cygaro z ust, i rzekł z dziwnym, niepojętym dla mnie spokojem: „Stało się“... Machnął ręką i w najlepsze zaczął spacerować po pokoju.

Prawdopodobnie umarła mu ciotka, albo bratanek. może siostrzenica, lub też narzeczona. — Narzeczona? — Pfi, w starym piecu djabeł pali...

— Nie uwierzysz — przerwał mi moje dumanie, stając tuż przedemną — jaką lukę uczułem po jej skonie w sercu...

Krzyknąłem.

— Mój Kostusiu! — rzekłem, powstając uroczyście z miejsca — mój Kostusiu! — powtórzyłem, nadając głosowi ten dźwięk żałosny, ten akord głęboki, powleczony grubym kirem, cokolwiek utykający i niedomagający, taki ton, jakiego się popularnie używa w podobnych wypadkach: Widzisz... a no, trudna rada... już jej niema... rzecz oczywista... czy bardzo się męczyła?

— Nie mam wyrazów — pozwól mój drogi — och!...

To „och“ wymknęło mi się z gardła w braku dosadniejszego wyrazu i z tego instynktowego poczucia stanu rzeczy, że przecież trzeba raz o coś się zaczepić i na czemś gruntowniejszem stanąć. Stanąłem więc na tem „och!“ i jeszcze raz przycisnąłem go do serca, klnąc w duchu na czem świat stoi, że mnie tu djabli przynieśli... Co mnie jednak najmocniej zdziwiło, że on zdawał się być tem wszystkiem zdumiony... Pojmuję, ja... ale on?!.. Przecież, musiał bardzo boleć nad stratą nieboszczki, bo cygara nie dopalił i siadając na wygniecionym fotelu, smutnie kiwał głową... Pokiwałem i ja, potem on powiedział dość głośno:

— A no. trudna rada!

Pi, zapewne, że trudna rada, pomyślałem sobie, kiwając nogą melancholicznie, i nieznacznie spojrzałem na zegarek... Wypadało mi jeszcze z kwadransik posiedzieć.

Zdawało się, że westchnął, a może się mylę, ale po chwili odezwał się z odcieniem smutku:

— Biedactwo, męczyło się bardzo..

Poczułem, jak w tem miejscu, wypada mi zerwać się na równe nogi.

— Męczyła się? — powtórzyłem za nim głosem bez wyrazu.

— Wiesz?... ot tak wierzgała nogą!... — rzekł, pokazując mi, jak ona to robiła...

Wierzgała nogą?... Do djabla!... przedziwne wyrażenie, pomyślałem sobie; — ale jeżeli istotnie wierzgała nogą, to jednak ten osioł, mógł znaleść inny frazez na określenie tego, co nieboszczka nogą przed śmiercią robiła...

— Wierzgała... — powtórzyłem za nim z wysokiem napięciem.

— Zdawało mi się, że oczy ma pełne łez — rzekł po chwili i spostrzegłem, że sięga po chustkę do kieszeni. A no, trzeba było sięgnąć i po swoją.

— Cztery dni nie jadła — powiedział z chustką w garści.

— Cztery dni! — zawołałem, rad, że przecież chustki nie zapomniałem w domu.

— Co ja mówię! — poprawił się — pięć dni nie jadła!...

— Okropność! — zajęczałem, czując równocześnie, jakbym w tej chwili spożył befsztyk z jajem. — Nic nie jadła?

— Trochę mleka, rosołku, zresztą prawie nic... — odparł.

Uczułem kurczowe ściśnięcie żołądka.

— O, mój drogi Konstanty! — zawołałem z prawdziwie tragicznem zacięciem — i ty, na te jej męczarnie musiałeś patrzyć i patrzałeś! I cierpiałeś nad tem, że patrzysz bezradny!... To straszne... to okropne!... Nie uwierzysz jak mnie to boli... co czuję... jak czuję... ja cię tak rozumiem!... — I tak dalej byłbym mówił bez końca, gdyby nie chustka, którą spostrzegłem, jak Konstanty podniósł do twarzy, co mnie tak rozrzewniło, że urwawszy, otarłem dwie grube łzy, gdy tymczasem — on — Konstanty, właściwie wytarł tylko nos i schował chustkę do kieszeni... Coś podobnego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu!...

Właściwie dlaczego ja płakałem a on nie?. Niech go piorun trzaśnie! — Ale zaraz przypomniałem sobie, że są takie stany duszy, w których już nie stać na łzy a jeno świeci się oczami pełnemi dojmującego bolu... Nie mogę powiedzieć, aby w ten sposób świeciły te jego cebule, przeciwnie, patrzał na mnie ze spokojem przedhistorycznego mamuta, któremu nie żal, że połknął ofiarę...

Ciekawym ile odziedziczył?... Idjota!.. zapomniał przesłać mi pośmiertną kartę!.. Prawda, że nie byłem dwa miesiące w miejscu, przecież, za powrotem powinienem był znaleść jakiś znak widomy... Ostatecznie, i to chciałbym wiedzieć, kogo właściwie pochował?

Nic nie mówi... Domyślam się więc bratku, wstydzisz się po prostu!... Zapewne, znalazł sobie jakąś amatorkę!... Oszalał stary!... W tym wieku!... A wierzę, że umarła, obejrzawszy bliżej tę jego łysinę... Piękne byłaby miała życie z takim badylem, winszuję!...

Patrzałem na niego jak po wypłowiałem suknie biurka bębnił długim i kościstym palcem...

Ładna figura!.. Co on bębni? Prawdopodobnie jakiś marsz żałobny... Tak, czuję, że mi znów wypada podnieść się z wygodnego fotelu i wydobyć ze siebie coś w rodzaju kondolencji. A no, trudna rada.

— Mój Kostusiu — powiadam, wpadając odrazu jak w studnię w elegijną prozę — pojmuję, że płaczesz... że panie tego...

— Dajno pokój! — przerwał mi fuknięciem — nie płaczę!.. Po co ta przesada?..

Jak mi Bóg miły, dziwoląg nie człowiek!..

— Nie płaczesz — powiadam — ale cierpisz...

— Przykro mi i, koniec! — rzekł wstając z miejsca.

Cymbał!..

— Przykro ci, mój drogi... przykro ci, mój kochany — podjąłem na nowo, nie dając jeszcze za wygranę — ja to rozumiem!.. Gdy przed trzydziestu laty umarła mi po raz pierwszy babka.

— Oszalałeś! — zawołał. — Co ty wyjeżdżasz z babką?!

Patrzał na mnie zdziwiony.

Co go tak dziwi?...

— A od kogo miałem zacząć? — pytam się go już zły na dobre. Była to pierwsza śmierć, którą widziałem w życiu, pojmujesz?... Była to — mówiłem dalej, wpadając w rozczulenie — była to śmierć... śmierć... mój Kostusiu... uważasz, taka śmierć, panie dobrodzieju, na którą patrzałem stojąc ot tak — (wstałem z miejsca) — a katafalk, uważasz, stał, ot tam... — (pokazałem palcem na niego). Wzdrygnął się, spojrzał na mnie przestraszonemi oczami, następnie nie wiem skąd, ale wzruszył ramionami i zaczął chodzić po pokoju.

Teraz spostrzegłem, że jest w istocie bardzo blady... Musiał przechodzić wielkie katusze. Nagle się zatrzymał i pokazując palcem w ciemny kąt, powiada:

— Tu leżała...

Co u licha, pod piecem leżała!.. Prawda, że to zima... lecz żeby chorą osobę stawiać z łóżkiem pod sam piec — na to trzeba być skończonym warjatem!.. Nic dziwnego, że umarła!

— Tu leżała? — powtórzyłem monotonnie, przewracając oczami, na znak, że chociaż leżała tak blisko pieca, przecież z nim współczuję, a nieboszczki mi żal... Ale jak do tego przyszło, że tu leżała w jego kawalerskim pokoju?.. Dziwna rzecz... Już się chciałem zapytać skąd do tego przyszło, gdy się odezwał:

— Dziwna to rzecz ta delikatna czułość takiej istoty... Wyobraź sobie, przed śmiercią tuliła się do mnie...

Masz babo redutę!...

— Tuliła się do ciebie?... no, proszę... — powiadam, byle coś powiedzieć.

— A potem — rzecze — raz jeszcze zaskomlała i zdechła...

Zerwałem się na równe nogi:

— A żeby ciebie siarczysty piorun!.. Jakto, zaskomlała i zdechła!? Kto?

— Moja faworytka, suczka... — rzekł patrząc na mnie z cynicznym spokojem — ta sama, którą u mnie widziałeś.

Myślałem, że się przewalę.. Cały dygotałem..

Żeby ciebie z twoją suczką razem!.. To ja tu słucham, wysilam się na skomplikowane wyrazy kondolencji, całuję cię i płaczę — jak Boga kocham, płakałem dla twojej przyjemności byle cię pocieszyć — a tu się pokazuje — suczka!..

Wściekły, no, wściekły, porwałem za kapelusz i wypadłem z pokoju...

STANISŁAW WOMELA

METEOR.

Już bardzo dawno, przed wiekami,
Zanim się jeszcze zaczął czas,
Ze starcia światów, gdzieś w przestworach,
Uciekł samotny zimny głaz.

Z rozbicia tylko mu została
Ślepego pędu dziwna moc;
Nią gnany odtąd nieodmiennie
Przebiega cicho wieczną noc.

Wtem, w monotonnych jego dziejach
Nastaje nagle jakiś zwrot;
Już tak nie leci bez pamięci,
Bo coś tamuje jego lot.

Z ogromnym trudem się przedziera
Przez lotnych istot gęsty tłum,
A w koło niego i po za nim
Zrywa się wichru głośny szum.

Walczy z powietrzem i nieznacznie
Rozgrzewa się, zaczyna tlić
I świeci, kreśląc na przestworze
Świetlaną bytu swego nić.

A z dołu, pod nim, tam głęboko,
Okryta futrem wiotkich chmur,
Ciągnie go ciemna tarcza ziemi
Z mozajką lądów, mórz i gór.

Ciągnie — on chciałby się przybliżyć
Lecz ledwie ku niej nagiął bieg,
Szarpnięty gwałtem dawną siłą
Wnet minął jej ostatni brzeg.

Za chwilę wybiegł z atmosfery
I, zwolna skonał wichru szmer;
Głaz zagasł, ochłódł i stężały
Popędził do nieznanych sfer.

Ale na drogę, pod skorupą,
Zachował sobie ciepły rdzeń —
A w końcu, gdy i ten wystygnie
Poleci z nim wspomnienia cień.

Zabrał je tym, co go widzieli
I długo o nim będą śnić,
I patrzyć w niebo, czy też kiedy
Błyśnie znikoma jego nić...

WSPÓŁCZESNA LITERATURA RUSIŃSKA.

Szkic literacki.

Dokończenie.

Oryginalnym i wielkim talentem z plejady starszych literatów odznacza się jedynie Panas Myrnyj. (Pseudonim). Coś nieskończenie tragicznego, a zarazem wielkiego, jak duch gnębionej Ukrainy, wieje z dzieł tego człowieka, który nigdy nie wychylił swej tajemniczej postaci z poza maski pseudonimu. Szereg jego powieści: „Łychij poputaw", „Pianycia", „Powija", „Łychi ludy", „Chyba rewut' woły jak jasła powni" (Les chevaux se battent, quand il n'y a pas de foin dans le ratelier), to niby wielka panorama niedoli i smutku, w jakim jęczy ukraiński naród. Kto raz przeszedł przez to piekło, ten nigdy nie zapomni głębokiego tragizmu jego obrazów. Tylko Szewczenko i M. Wowczok, umieją z taką siłą i plastyką jak on, malować ludzką nędzę i boleść. W prozie nikt dotąd nie dorównał mu bogactwem i siłą wyrażenia. W literaturze jakiego z wolnych narodów, Myrnyj zdobyłby sobie może nie mniejszą sławę jak Sienkiewicz, Zola, Dostojewski. W rusińskiej, jego najlepsze utwory „Łychi Ludy" i „Chyba rewut' woły", drukowane w Genewie nie mogą dostać się na Ukrainę. Autor całe życie kryć się musi pod pseudonimem. Oczywiście, że takie stosunki nie przyczyniają się ani do rozpowszechniania dzieł jego, ani nie wpływają korzystnie na twórczość samego autora. Z Myrnym powtarza się ta sama prawie historja co z Kotlarewskim, Kwitką, M. Wowczkiem, Szewczenką i wszystkimi rusińskimi talentami. Stosunki polityczne i ekonomiczne nie dają im rozwinąć nawet dziesiątej części tych sił i zdolności, jakie przynoszą ze sobą na świat. Tak marnieje na Ukrainie Stefan Rudański, tłumacz Odyssei, P. Niszczyński, Pawlo Hrab i wielu, wielu innych; w Galicji: Szaszkiewicz, Fed'kowicz, Włodzimierz Barwiński. Jeżeli zaś któremu, jak Iwanowi France los pozwolił rozwinąć się wszechstronniej i bujniej, to jak przerażająco małemi i skąpemi są rezultaty ich pracy w obec sumy

zmarnowanych usiłowań i zdolności, jak drogo opłacone są zaciekłą walką o byt, nadludzkiem poświęceniem i zaparciem się samego siebie.

Obdarzony fenomenalnemi zdolnościami umysłowemi i wyjątkową poetyczną organizacją, Franko jeszcze w latach gimnazjalnych rzucił się z całym zapałem na pole literackie. Na szkolnej ławie przetłómaczył Antygonę, Elektrę, część księgi Hioba, kilka pieśni z Odyssei i Nibelungów, dwa pierwsze akty „Uriela Akosty“ Gutzkowa, i napisał niemało romantycznych i miłosnych wierszy. Już w roku 1873 jako ośmnastoletni młodzieniec występuje ze swojemi utworami publicznie. Są to zrazu fantastyczne, senzacyjne powieści, pisane gorączkowo, w usposobieniu nerwowem, ale z niepospolitą brawurą i śmiałem zacięciem. Utwory te „Petriji i Doboszczaki“ (1874) sonety i różne wiersze, drukuje Franko w akademickiem czasopiśmie „Druh“. Świadczą one, że Franko jeszcze nie natrafił na temat i sferę któraby odpowiadała właściwemu rodzajowi jego talentu, przyczyniając się jednak do wyrobienia jego języka i stylu. Taki temat i sferę właściwą sobie, znajduje Franko wkrótce, pisząc realistyczne obrazki z życia ludu, które stają się zarazem jego pierwszym tytułem do sławy. Popularność, co prawda, zdobywa sobie nie owemi „obrazkami“, lecz dłuższą, z wielką werwą i fantazją napisaną powieścią z życia karpackiego ludu w XIII. wieku p. t.: „Zachar Berkut“, one jednak zwracają nań uwagę Dragomanowa, który odtąd staje się jego duchowym przewodnikiem. Można powiedzieć, że dopiero pod wpływem Dragomanowa, wyrabia się u Franki światopogląd, który jest podwaliną całej jego duchowej ewolucji. Pod jego wpływem zaznajamia się z Zolą i szkołą realistyczną, która wyciska na nim niezatarte piętno na całe życie. Dragomanów rozwija jego wrodzone poczucie i zamiłowanie ojczystego języka i nakłania do gruntownych badań na tem polu. Jakoż niezmordowaną pracą etnograficzną i przez studjum żywego słowa doprowadza Franko we władaniu językiem rusińskim do mistrzowstwa.

Z nieprzejrzanej masy jego dzieł treści naukowej, społecznej, ekonomicznej, politycznej, literackiej i belletrystycznej wyjmujemy tylko najważniejsze.

W oryginalnych swoich obrazkach, zebranych później i wydanych z przedmową M. Dragomanowa p. t.: „W poti czoła“ daje Franko szereg misternych szkiców z życia galicyjskiego ludu. Bije z nich znajomość życia ludu, jego wyobrażeń i języka, a szczere uczucie i prawda stawiają je w pierwszym rzędzie jego utworów. Do najlepszych należą: „Na dni“, „Do switła“, „Hrycewa szkilna nauka“, „Schönschreiben“, „Seryszyna czelad'“, „Manipulantka“.

Znaczną wartość literacką posiadają następnie jego dłuższe epiczne poemata: ,,Pański żarty“, opowiadanie z 1848 r., ,,Kain“ i ,,Surka“. Jego dramaty „Ukradene szczastie“ ,,Uczytel“, i ,,Son kniazia Swiatosława“ świadczą, że i w tym kierunku Franko wybitne rzeczy tworzyć potrafi, a pierwsze dwa cieszą się nawet niemałem powodzeniem scenicznem.

Trzy w niewielkich odstępach czasu wydane tomy poezyj (Z Werszyn i Nyzyn 1893, Ziwiałe Łystie 1896, Mij Szmaragd 1898) dowodzą, że Franko z żywem uczuciem czem raz lepiej udaje się złączyć misterną, w bardzo wysokim stopniu wyrobioną formę.

Jeżeli w obec tego nie wszystkim porywom i usiłowaniom Franki danem było ziścić się do teraz, to w każdym razie można powiedzieć, że dwadzieścia pięć lat pracy na niwie piśmiennictwa rusińskiego ani dla niego ani dla narodu nie przeszły marnie.

On pierwszy zrozumiał myśl Dragomanowa, i przypatrując się życiu z ogólno ludzkiego stanowiska miał odwagę pisać to, co myśli i czuje. A nie były to nieśmiałe, wpół naiwne utwory Fed'kowicza, który, chociaż posiadał talent, nie zdawał sobie z niego sprawy i do utworów swoich nie przywiązywał prawie żadnej wagi. Literacka twórczość Franki to świadoma swoich celów i środków sztuka. Nie sztuka jednak dla sztuki. Każdy jego utwór z osobna, to niejako poetyczny wyraz stosunku jego do jakiegoś życiowego zjawiska; wszystkie razem, to przybrana w poetyczne szaty historja jego duchowego rozwoju. Odebrać jego utworom ten związek z życiem, znaczyłoby zabić je w zarodzie. U niego życie i sztuka to jedno.

Iwan Franko nie tylko związał literaturę rusińską z życiem współczesnem narodu i ruchem umysłowym europejskim. Dając przez sam rodzaj i kierunek swego talentu wyraz współczesnemu życiu i dążeniu rusińskiego narodu, przyczynił się jak mało kto drugi do wyrobienia języka i rozbudzenia ruchu umysłowego. Jego działalność stała się szkołą dla całego szeregu utalentowanych literatów.

Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby Franko utworzył właściwą szkołę w znaczeniu literackiem. Jakiś francuski krytyk powiedział, że szkoła jest mścicielką wad mistrza. Otóż Franko ma to szczęście, że żaden z wybitniejszych literatów, którzy w pierwszej fazie swego rozwoju kształcili na jego utworach swój język, nie poszedł niewolniczo za nim. Owszem, wszyscy zaciągają się pod nowe sztandary, ażeby walczyć w imię nowych haseł i szukać nowego wyrazu dla życia swej duszy. Niemała jednak w tem Franki zasługa, jeżeli teraz już piszą językiem wyrobionym i dobrym, a przytem swoim, odrębnym i żywym*).

Z tych na młodszych, wymieniamy tylko najwybitniejszych: Osyp Makowej, dr. Wasyl Szczurat, Olga Kobylańska, B. Łepkij, Wetlyna, Stefanyk.

Wasyl Szczurat, dzięki niepospolitej giętkości umysłu, wcześnie opanował literaturę polską, rosyjską, niemiecką, staro- i nowo-francuską, a przez liczne przekłady wyrobił sobie skończoną formę. Jego przekład starofrancuskiego poematu w dwustu dziewięćdziesięciu pieśniach ,,Piśnia pro Rolanda“ jest tego najlepszym dowodem. Oprócz przekładów, w ogłoszonych dotąd oryginalnych poezjach, dał się poznać jako niepospolity liryk o formie niezrównanie wykwintnej i melodyjnej. Usposobienia wrażliwego i nerwowego, w sztuce jest Szczurat *par excellence* parnassistą i hołduje najnowszym kierunkom, które krytyka zwykła chrzcić niezbyt ścisłem mianem dekadentyzmu.

Zupełnie inny rodzaj talentu przedstawia Osyp Makowej. Z natury spokojniejszy, skłonny do refleksyj i sentymentalizmu, zrobił sobie imię szeregiem barwnie i z życiem pisanych nowel, w których nie brak szczerego humoru i trafnej obserwacji. Pierwsza jego większa powieść „Zalisie“ pisana nadzwyczajnie lekko i zajmująco, przypomina żywo powieści

*) Przyznając chętnie, wraz z autorem niniejszego szkicu, że p. Iwan Franko położył niemałe zasługi około rozwoju swej literatury ojczystej, uważamy jednak za obowiązek dodać na tem miejscu od siebie, że wartość tych zasług literackich obniżył on sam, oświadczając w przedmowie do tomiku swych nowel pt. „Obrazki galicyjskie“, że nie kocha ani Rusi ani Rusinów, a nadto, rzucając się niejednokrotnie z przewrotną zaciekłością na ideały i osoby, które dla wszystkich ludzi ucywilizowanych powinny być conajmniej nietykalne. Wystarczy, gdy przypomnimy nikczemną napaść p. Franki na dzieła największego z naszych wieszczów, nieśmiertelnego Adama. Jako pisarz rusiński ma p. Franko niezaprzeczenie zasługi dla literatury rusińskiej — jako człowiek, na żadną sympatję, ani względy nie zasługuje. (Przyp. Redakcji).

sławnej pani Gyp i to nietylko sposobem patrzenia na świat i ludzi, lecz także rodzajem humoru i tonem. Z tego też powodu jego powieść byłaby może znacznie poczytniejszą u Francuzów jak u Rusinów.

Przedstawicielką jednego z najnowszych kierunków w literaturze: Nitschejanizmu, jest młoda i obiecująca postać, panna Olga Kobylańska. W tym duchu pisaną jest jej dłuższa powieść „Cariwna" i szereg nowel. Niektóre z nich odznaczają się niezwykłą subtelnością pojęcia i świadczą o duszy wrażliwej i poetycznej, chociaż o niezupełnie jeszcze wyrobionym światopoglądzie i pewnej afektacji. Z szeregu nowelistów, Łepkiego, Wetłyny i Stefanyka najbardziej obiecującym jest ostatni, który dał się niedawno poznać z kilku małych lecz z wielkim artyzmem pisanych nowelek.

Oryginalnym sposobem pisania zrobili sobie nadto imię młodsi: Jarosław Okuniewski (Szkice z podróży na około świata), Denys Łukianowicz i Wiacześław Budzynowski.

Popularnością cieszą się wreszcie powieści p. Natalji Kobryńskiej i Andrija Czajkowskiego. Ten ostatni zaczął pisać późno (w 45 r. życia) i pokazał — jak talent łatwo zdobywa popularność. Jego powieści: „Ołuńka", i „W czużim hnizdi" mają to do siebie, że czytają się jednym tchem, a ludzie w nich są z krwi i kości, drgają w nich ludzkie namiętności i uczucia. Jednem słowem, powieści Czajkowskiego tryskają życiem a to już znaczy niemało.

Pozostaje nam wspomnieć jeszcze o ruchu literackim na Ukrainie, który, chociaż słaby, bez znaczenia jednakże nie jest. Tam, jak wiadomo, wszelki ruch żywszy tamują niesłychanie niekorzystne stosunki cenzuralne i brak łączności z Galicją, który jest dla całej rusińskiej literatury fatalnym. Dzieła pisane na Ukrainie wychodzą co prawda i teraz w Galicji i można powiedzieć, że dobra proza ukraińska nie różni się od galicyjskiej, jednak, o żywszej łączności i mowy być nie może.

Ukraińcy muszą aż do nastania lepszych czasów zadowalać się literaturą rosyjską i cichą, mrówczą pracą na polu etnografji i językoznawstwa, tembardziej, że i utwory najwybitniejszego i najproduktywniejszego z Ukraińców Czajczeńka przypominają dzieła Neczuji i nie mogą wytrzymać konkurencji nawet literatury galicyjskiej. Nie brak tam wprawdzie pracowników a nawet talentów, jak Kociubińskiego, Kowałenka, Sewenka i innych nowelistów. Piszą oni utwory wdzięczne, które jednak — świecą a nie grzeją.

Jedynym, jak mówi Franko „mężczyzną" na całą Ukrainę jest młoda jeszcze dziewczyna, Łesia Ukrainka. Jej dzieła zapowiadają, że z tego kwiatka może rozwinąć się z czasem wspaniała i bujna roślina, która przywróci świetną tradycję poezji ukraińskiej. Tymczasem Łesia dorzuca drobne, lecz co raz to bardziej wartościowe perełki do skarbnicy rusińskiej literatury, a sam ten fakt, że i na ujarzmionej, zakutej w kajdany Ukrainie życie nie tylko nie zamilka, lecz przeciwnie, daje czem raz więcej dowodów odporności i twórczej siły, każe wierzyć w lepszą przyszłość i dla rusińskiego narodu i dla jego literatury.

Nie ulega wątpliwości, że — jak mówi Dragomanów — tylko zrodzeni na ukraińskiej niwie Puszkiny, Lermontowy i Żukowscy, zdołają sobie i rusińskiej literaturze zapewnić znaczenie u siebie i cudzych, lecz niemniej pewną jest rzeczą, że „les chevaux se battent, quand il n'y a pas de foin dans le ratelier"...

Utrudniona łączność Ukrainy z Galicją, skomplikowane a niekorzystne stosunki polityczne i ekonomiczne, utrudniają niesłychanie rozwój rusińskiego ruchu umysłowego. Nie da się jednak zaprzeczyć, że suma zdobytego ziarna rośnie, że ruch literacki przed kilkunastu jeszcze laty bardzo słaby, staje się żywym i obiecującym, a mnożenie się zdolnych i niezmordowanych pracowników, każe patrzyć ze spokojem na przyszłość rusińskiej literatury.

Jan Pietruszewicz.

ŚLUBY DUSZ.

Każda dusza ludzka ma przeznaczoną sobie drugą duszę... Nocą, gdy świat cały we śnie pogrążony — opuszczają dusze ciała swe i lecą w dalekie przestworza na poszukiwanie dusz bratnich. A gdy się spotkają takie dusze dwie, zawierają śluby i lecą razem szczęśliwe... Ale gdy gwiazdy pobledną a świt pocznie rozjaśniać niebo, wracają do ciał swoich, a wróciwszy na ziemię, tracą pamięć tego, co podczas tej wędrówki robiły i widziały. Gdy dwie poślubione sobie dusze na ziemi się spotkają, przylgną do siebie od razu.

Często zdarza się, że ludzie mówią o mężczyźnie i kobiecie: „zakochali się od pierwszego spojrzenia". Nie zakochali się, tylko ich dusze, poślubione, poznały się. I wtenczas kojarzą się szczęśliwe małżeństwa. Niezmiernie jednak trudno poznać się duszom na ziemi. Serce wprawdzie dopomaga im w poszukiwaniu, ale serce myli się często... I ztąd tyle nieszczęśliwych miłości na świecie.

* * *

Szukała raz dusza swej duszy po świecie, szukała długo, napróżno. Każdej nocy szła na poszukiwanie i wracała coraz smutniejsza...

Wybiegła raz biedna dusza na świat Boży — drżąca, stęskniona, niepewna, w którą biedz stronę. A noc była cudna, srebrna, księżycowa. I był w niej urok dziwny, — jakieś czary niepojęte rozlewała dokoła. Leciała dusza nad borami czarnymi, tajemniczymi, wśród których krzyżowały się drogi, jak wstęgi srebrzyste, i raz po raz migały paprocie, kędy księżyc zaglądał ciekawie. Leciała nad srebrnemi falami jeziora, w którem jak w lustrze przeglądały się nadbrzeżne brzozy płaczące — nad łąkami, spowitemi w mgłę białą, powiewną.

I nagle ujrzała dusza postać świetlaną, lecącą wprost ku niej. Miała szatę leciuchną, na głowie wieniec, a w ręku światło, niby gwiazdę, rzucającą promienie dokoła. I była przedziwnie piękną.

Zachwycona dusza zatrzymała się przed tem promiennem zjawiskiem, które rzekło do niej: „Czemuś tak smutna, o duszo?“

— Szukam przeznaczonej mi duszy, a znaleść jej nigdzie nie mogę — odpowiedziała cicho.

— I nie znajdziesz jej nigdy. Nie ma dla ciebie drugiej duszy, bo ty jesteś mnie poślubioną przez Boga. Posłuchaj mnie, duszo, jam jest genjusz poezji. Jeżeli przyrzekniesz mi wierność i miłość, dam ci moc władania sercami ludzkiemi i pójdą posłuszne za tobą. Każesz im się weselić, będą wesołe, — każesz im płakać, będą płakały wraz z tobą. Powiodę cię drogami świetlanemi, — ukażę ci światy czarowne, nieznane, których inne dusze oglądać nigdy nie będą. I będziesz pić rozkosz z prawdziwego źródła rozkoszy, będziesz się kąpała w ogromnem, niezmierzonem morzu szczęścia. Pójdziemy tak razem każdej nocy... i we dnie będę zawsze przy tobie, ale niewidzialny. Lecz wróciwszy na ziemię, stracisz pamięć o przebytej nocy, — zostanie ci tylko niby niejasne przeczucie tego, coś widziała i, wieczna po mnie tęsknota. Czy chcesz pójść ze mną?

— Pójdę — szepnęła dusza.

Nagle wyrosły jej skrzydła i jakaś błogość nieziemska ją przeniknęła.

I ukazał jej geniusz prawdziwe źródło rozkoszy, z którego piła do syta, i prowadził ją w nieznane światy, gdzie przebywają duchy: piękna, dobra, cnoty, miłości, poświęcenia, zapału, cierpienia i wiele, wiele innych. I poznała je dusza wszystkie.

Tak w noc każdą bujała w zaczarowanej krainie, a o świcie musiała wracać na ziemię i tęskniła potem ciągle, nie wiedząc, po czem tęskni i szukała, nie wiedząc, coby zgubiła.

I snuła potem baśnie cudne i opowieści, którym się ludzie dziwili ogromnie...

* * *

Podobno każdy artysta ma swego genjusza, któremu poślubia duszę, żadnemu też z nich nie wolno oddać swej duszy zwykłemu śmiertelnikowi. Wprawdzie i artyści łączą się ziemskimi węzłami z wybranemi przez siebie istotami, bo i serce mają gorętsze i większą wrażliwość niż inni ludzie, i łatwo pociąga ich piękność lub dobroć; ale nie oddają prawie nigdy swej duszy. Jeśli istota oddana artyście zadowoli się tylko sercem jego, to i dobrze, lecz gdy zażąda duszy, której on dać nie może — harmonja psuć się musi... I stąd małżeństwa artystów są najczęściej nieszczęśliwe.

A gdy się zdarzy, że artysta zapomni przysięgi złożonej genjuszowi i odda swą duszę człowiekowi, traci swą twórczość i — skrzydła złamane wlecze za sobą do końca życia.

A to jest zemsta — zdradzonych genjuszów.

Gwiazdor.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Choć zakłopotanie, w jakie męża wprowadziła, bawiło Ninę, to jednak pragnęła unikać jak najstaranniej wyjawienia tajemnicy, o której, choć dobrze nie wiedziała, ale pewną była jej istnienia. Pomyślała sobie, że gdyby się zdradziła z tem, iż wie o wszystkiem, lub się czegoś domyśla, mogłaby sama siebie skompromitować, zawsze to bowiem ujemnem jest dla uczciwej kobiety, gdy się zdradza z zazdrością. Z drugiej strony instynkt kobiecy podszeptywał jej, że nie należy działać za pospiesznie, ażeby męża nie spłoszyć i nie uczynić go przezto ostrożniejszym w działaniu, jeżeli by ją zdradzał istotnie, lub co gorsza, nie zrazić go do siebie, jeżeli by podejrzenie było niesłuszne, lub zgoła przeholowane.

Wolała była jeszcze jakiś czas cierpliwie poczekać, i dlatego nie mówiła już więcej o wycieczce Albina na miasto. Skierowała rozmowę na inny przedmiot, zupełnie neutralny. Poczęła się przed nim rozgadywać o projektach wycieczki na wieś, gdy tylko słoneczko zawita z wiosną; poczęła przypominać mu, jak im tam było dobrze zdala od gwaru wielkomiejskiego, od tych niedobrych, sztywnych ludzi, którzy jedyną zabawę i rozrywkę upatrują w obgadywaniu drugich. A tak się tem zapaliła, że i Albina ze sobą porwała. Na wspomnienie błogich chwil, spędzonych na wsi, zapomniał o Malwinie i o swych kłopotach sercowych. A Nina taka jakaś była dziś powabna, tak wesoła i urocza, rozbawiona, że było mu bardzo błogo, i gdy przestała szczebiotać, a równocześnie myśl o nieszczęsnym liście zawirowała w głowie Albina, żałował szczerze, że wysłał ten nieszczęsny listek papieru na niepewne losy, gdy tu blisko siebie ma taki skarb nieoceniony.

Od wielu dni, dziś czuł się swobodniejszym, weselszym; czuł to, że inna kobieta, choćby i Malwina, nie mogłaby mu dać takiego pogodnego szczęścia, jakiego doznawał przy boku młodej małżonki.

I dziś dopiero, gdy znowu dawnemi na nią patrzył oczyma, spostrzegł, że rumieńce jej nieco przybladły, a koło oczu ledwie dostrzegalne, ciemne obwódki się pozarysowywały. Trzymając żonę w objęciu, nieśmiało zapytał ją: czy nie czuje się chorą. Popatrzyła wprzód na niego swemi dużemi oczyma, badawczo, jakby się chciała przekonać, czy jego troskliwość udana czy prawdziwa, poczem odparła, spuszczając oczy:

— Nic mi nie jest...

Ośmielony tem Albin, wyraził jej swoje nietajone obawy, że zdaje mu się, iż gorzej wygląda niż przedtem.

Młoda kobieta zapłoniła się szkarłatem i kryjąc główkę na piersi męża, szepnęła:

— Ty wiesz przecie...

Tymczasem on nic nie wiedział. Myślał przedewszystkiem, i nie tak bardzo się znowu mylił, że to zazdrość budząca się w Ninie, tak gasi jej krasę i wyrzutami sumienia dręczony, zwiesił smutno głowę, jak pokutujący winowajca.

— Czegoś tak nagle posmutniał, mężusiu — zapytała pieszczotliwie Nina, gładząc go po włosach według zwyczaju. Powinieneś się raczej cieszyć — i po tych słowach znowu zawstydzona przytuliła się do mężowskiego łona.

Z czego on się miał właściwie cieszyć? Nie rozumiał wcale, o czem Nina myślała. Nie pytał więc o nic więcej i siedział dalej milczący.

— Ach! jakiś ty niedomyślny, Albisiu! — zawołała Nina zniecierpliwiona — i uchwyciwszy go za szyję, w ucho mu szepnęła jedno słówko.

Porwał się z kanapki i ukląkł przed żoną, okrywając jej rączki pocałunkami, aż go pohamować sama musiała.

Miał zostać ojcem! — Niespodziewana ta nowina, jakże dziwnie zeszła się z tym samym dniem, w którym uczynił pierwszy krok do złamania Ninie wiary małżeńskiej. Choć z jednej strony radość jego nie miała granice, z drugiej czuł się w duszy wielkim przestępcą. Ach ten list nieszczęsny; jakiż szatan podszepnął mu krok taki?! Czy trzeba mu było zakłócać sobie spokój, którym tak długo oddychał? Jakie nieszczęsne fatum postawiło na drodze jego życia tę nienawistną Malwinę? — Czy istotnie nienawistną? — Nie!... tylko wysoce dla niego niebezpieczną.

A jednak stało się; coś mu w duszy mówiło, że tu jeszcze nie kres jego cierpień i niepokoju, że łańcuch zgryzot przez niego samego splątany, pociągnie się jeszcze długo, — byle nie w nieskończoność.

Westchnął gorąco, gdy go Nina z posadzki podniosła i usiadł przy niej milczący, od czasu do czasu spoglądając w jej oczy, jakby chciał z nich wyczytać, czy nim nie pogardza, czy nie udana, czy nie wymuszona, jest ta czułość dla niego, której się po niej dzisiaj nie spodziewał.

I Nina siedziała teraz milcząca, zatopiona w myślach, wśród których przewijała się jak zmora ta Malwina, o którą była zazdrośna. Tylko, że odmiennemi były myśli młodej kobiety. Czując się już matką, była pewną, że to maleństwo któro na świat przyjdzie, będzie niejako ogniwem łańcucha, który jej męża do niej silniej przykuje. Znając dobry i szlachetny charakter swego młodego małżonka, wiedziała, że ten owoc ich wzajemnej miłości będzie łącznikiem pomiędzy nimi dwojgiem i najlepszą ochroną przeciw niegodnym zwodzicielkom, a przedewszystkiem tej Malwinie, którą z duszy nienawidziła A miała powód ją nienawidzieć, gdy przynajmniej na chwilę odwróciła serce męża a choćby myśli tylko od niej, która to całe serce swego Albina niepodzielnie posiadała. Teraz jej go już nie wydrze — i jakby chciała się o tem przekonać, silniej przytuliła się do mężowskiej piersi.

Ani nazajutrz, ani parę dni następnych, nie miał Albin żadnych wiadomości, co się stało z jego listem do Malwiny wysłanym. Niepokój, jaki przechodził przez tych parę dni, nużył go niepospolicie. Nie dlatego, że go niedochodziła odpowiedź od Malwiny, ale miał wiele innych przyczyn do niepokoju. Mniejsza już o to, czyby to pismo się gdzie na poczcie zatraciło; ale był w śmiertelnej obawie, ażeby je ktoś inny w jej nieobecności lub poza jej plecyma nie otworzył i nie przeczytał. Byłby skompromitowanym na zawsze; podpisał się przecież, a Malwina choćby jej nawet ciotka wymówki czyniła, wyparłaby się wszystkiego i na niego spadłaby cała hańba z nierozważnego jego postępku. A może — myślał — odebrała list i śmieje się z jego naiwności? — Niebyłoby w tem jeszcze nic tak złego; niewidziałby jej, a temsamem nicby sobie z tego nie robił, gdyby z niego szydziła. Teraz w zimowej porze, nic łatwiejszego, jak uniknąć z nią spotkania; później wyjedzie z Niną na całe lato i sprawa pójdzie w zapomnienie. A może do tego czasu Malwina pójdzie za mąż?...

Na myśl o tem, uczuł jakiś niepokój w duszy. Czyżby zazdrościł jej zamążpójścia? Co mu nareszcie do tego, gdy ktoś inny ją weźmie? — A jednak w tajnikach serca swego zazdrościł temu, ktoby posiadł tę kobietę? Przecież jej nie kochał. Kochał tylko Ninę i za żadne skarby świata, nie rozłączyłby się z tą ukochaną. — A przecież zmysły jego na myśl o Malwinie burzyły się; na wspomnienie tej kobiety gorąco mu się robiło, krew grała w żyłach i czuł, że na jedno jej skinienie byłby gotów rzucić się do jej stóp, byłby bez końca całował jej oczy i jak niewolnik błagał o uśmiech roskoszny. Sam nie wiedział, skąd to przyszło. Przy Ninie zapominał o tej kobiecie, jej postać jakby w niewyraźnych kształtach przesuwała się przed jego oczyma, ale gdy tej Niny przy nim nie było, gdy został sam, potrzebował tylko oczy przymknąć, ażeby zaraz w myśli jego jawiła się piękna, czarnooka czarodziejka, wabiąca go ku sobie całym czarem wyrafinowanej kokiety.

Teraz w tych dniach ostatnich, gdy myśl jego tym listem nieszczęsnym zajęta, mimowoli przywoływała mu przed oczy obraz tej, dla której odważył się na krok taki, teraz silniej niż kiedyindziej bawił się temi myślami, a nie mogły ich rozprószyć, ani pieszczoty Niny, ani ta słodka wiadomość, którą mu młoda małżonka udzieliła.

Nina odgadła, co się dzieje z jej Albinem. Nie okazała mu tego, że się czegoś domyśla, ale gdy była samą, smutek ogarniał jej serce i nieraz zazdrość pobudzała ją do wystąpienia z wyrzutami. Ale czuła, że takie jawne wystąpienie pogorszyłoby tylko sprawę i mogło wywołać skutek wbrew przeciwny jej oczekiwaniom. Cierpiała więc i czekała, bo wiedziała, że ostatecznie zwycięztwo przy niej zostanie. Była już kobietą w całej pełni. Obok serdecznego, gorącego uczucia dla Albina, wyrodził się w jej sercu i myśli rozsądek dojrzałej kobiety, a że niebyła nerwową, jak wiele jej rówieśniczek, brała rzeczy bardziej zimno. Takt, jaki w wysokim stopniu posiadała, nie pozwalał jej podzielać się ze swymi domysłami i smutkami nawet z najbliższymi, nawet z rodzicami; postanowiła zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi, i choć ją to wiele, bardzo wiele kosztowało, czekała, co będzie dalej.

Albin, gdy przeszły długie dni oczekiwania, zrezygnował już z otrzymania odpowiedzi na swój list szalony. Był prawie pewnym, że Malwina, przeczytawszy jego epistolę, roześmieje się z jego naiwności i głupoty, i rzuci świstek w ogień i sprawę całą uważał za skończoną. Odetchnął i uspakajał się nareszcie. Nina także zauważyła w mężu tę zmianę i cieszyła się w duchu, że przyszedł do rozwagi. Winszowała sobie zwycięztwa i teraz oddani sobie samym, gwarzyli wieczorami nad urządzeniem gniazdka dla nowego członka maleńkiej rodziny.

Dwa tygodnie, to duży okres czasu w niektórych razach. Wiele w takich czternastu dniach stać się może i niejedno się zapomni. I Albin w tym długim przeciągu czasu, zapomniał o tem, co mu przez parę dni spokój i sen odbierało. I Nina,

widząc męża swobodnym i wesołym, a zupełnie jej oddanym, uspokoiła się i promieniała szczęściem i zadowoleniem. Wychodziła teraz częściej na miasto za sprawunkami dla przyszłego obywatela czy obywatelki.

Pewnego dnia gdzieś wyszła i Albin sam pozostał w domu, zajęty pisaniem listu do rodziców Niny, w którym im donosił o radośnej nowinie, jaka młode stadło spotkać niedługo miała, gdy wszedł listonosz i podał mu liścik niewielki, pachnący. Gdy spojrzał na nic nie mówiącą kopertę ze znaczkiem miejscowym, zawahał się chwilę, czy list ten przyjąć, czy nie. Nigdy tego rodzaju listów nie odbierał i nieznane mu było to pismo, choć po charakterze poznał, że z kobiecej pochodziło ręki.

Już zabierał się po odejściu listonosza do rozerwania koperty, gdy usłyszał za sobą w drugim pokoju szelest sukni żony. Choć nie wiedział, ani co to był za list, ani od kogo przysłany, zmięszał się, i wsunął go szybko w kieszeń, pozostawiając sobie jego odczytanie na później.

Gdyby to od Malwiny? — pomyślał — i zmięszał się jeszcze bardziej. W tej chwili weszła Nina i rozkładając różne drobiazgi na stole, zasypała go gradem pytań o to lub owo, jak mu się podoba. Odpowiadał jej cokolwiek bądź, bo myśli jego były w tej chwili zajęte tym tajemniczym listem. który trzymał w zanadrzu.

Nina zbyt była zajętą tem, czem się teraz ustawicznie zajmowała i nie uważała nawet na roztargnienie męża, gdy jej co innego na jej zapytania odpowiadał. Śmiała się serdecznie, gdy to lub owo brał za coś zupełnie innego i strofowała go żartobliwie, że się na niczem nie rozumie. Młoda kobieta, mająca niezadługo zostać matką, była w swoim żywiole i nieco z góry swego męża traktowała. Nie odpowiadał nic na jej docinki, bo palił go ten list tajemniczy.

Gdy Nina skończyła przegląd przyniesionych drobiazgów, nie rozbierając się, oświadczyła mężowi, że go jeszcze na godzinkę opuści. Przez grzeczność ofiarował jej się do towarzystwa, ale z uśmiechem odparła, że pójdzie sama, bo on by jej przy takich sprawunkach tylko zawadzał, I chwyciwszy go obiema rękami za szyję, wycisnęła mu na ustach gorący pocałunek i wybiegła.

Jakże był jej za to wdzięczny! Nareszcie został sam i i mógł przeczytać to, co go w niepokój wprowadzało. Zaledwie ujrzał Ninę, wychodzącą z bramy kamienicy. poszedł szybko do swego gabinetu, zamknął drzwi za sobą i rzuciwszy się w krzesło, rozerwał szybko kopertę, rzucając ją przedewszystkiem w ogień do pieca, jakby mu, — choć nie wiedział jeszcze, ani co to za pismo. ani od kogo, — szło o zachowanie tajemnicy, że do niego był pisany. Potem usiadł ponownie i rozginając gorączkowo kartkę, począł czytać:

„Panie Albinie! — Nie wiem, czy po tylu dniach nie wyszło panu jeszcze z pamięci, że pan wogóle do mnie pisałeś i jeżeli — co jest dla mnie bardzo prawdopodobnem — zapomniałeś pan o tem, radzę, nie czytając dalej, rzucić list w ogień. Jeżeli zaś tak się nie stało, czytaj pan dalej. Ani mnie list pański nie zdziwił, ani nie obraził, powiem panu nawet więcej, że spodziewałam się tego, iż się pan do mnie odezwiesz. Byłam tego tak pewną, że oczekiwałam każdego dnia, czy się nie omylę. Jeżelim panu jednak nie odpisywała zaraz, zechciej mnie pan mieć za wytłumaczoną, bo muszę się liczyć z opinją świata. Ciocia moja wyjechała wczoraj na parę dni. Jeśli więc trwasz pan jeszcze w zamiarze widzenia się ze mną, czekam go jutro popołudniu u siebie".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

„Kijewskoje słowo" zamieściło z okazji jubileuszu Mickiewiczowskiego biografię naszego wieszcza, w której nazywa go: „Herkulesem polskiego romantyzmu".

August Strindberg napisał nowy dramat pt. „Do Damasku", który będzie w jesiennym sezonie wystawiony w Kopenhadze.

„Niemcy", pełna zgryźliwego sarkazmu satyra Heinego, wyszła w przekładzie polskim, dokonanym przez Kazimierza Filipa Wize, nakładem tłómacza, a drukiem W. L. Anczyca w Krakowie.

W lipcowym zeszycie „Wiestnika Europy" znajdujemy przekład Mickiewiczowskiej „Świtezianki", dokonany przez rosyjskiego poetę Markowa.

Dramat H. Sienkiewicza pt. „Na jedną kartę" grany był przed tygodniem w teatrze Ozierkowskim w Petersburgu na benefis p. Janowlewa. Krytyka rosyjska bardzo pochlebnie oceniła utwór dramatyczny autora „Bez dogmatu".

Teatr w parku krakowskim, wystawił w sobotę melodramat K. Krumłowskiego pt. „Królowa z przedmieścia".

W Chrystjanji wykończono nowy teatr narodowy norweski, którego otwarcie nastąpi jednak dopiero w dniu 1. stycznia 1899. Teatr zbudowano z przepychem. Główny portal zdobią z obu stron posągi: Ibsena i Björnstjerne-Björnsona. Dyrektorem artystycznym mianowano syna Björnsona.

Treść: Fr. Zwilkoński — *Kondolencja* (Humoreska); Stanisław Womela — *Meteor* (Wiersz); Jan Pietruszewicz — *Współczesna literatura rusińska* (Szkic literacki — dok.); Gwiazdor — *Śluby duss*; Adam Krajewski — *Amor vixit* (Nowela — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*